

Często tamtędy przejeżdżam. Ot, zwykłe bloki, jakich pełno w naszym mieście. Koszmarki z lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, mrówkowce z mieszkaniami dla krasnoludków. Szczyt marzeń naszych rodziców. Dziś nawet nie pamiętam, który to był blok. One wszystkie są takie same. A przecież rozegrały się tam ważne dla mnie wydarzenia. Byłem wtedy piękny, młody i ambitny. Pełen dobrych chęci i zapału, aby zmieniać świat na lepsze. Dziś jestem już tylko piękny. A świat, pomimo moich dobrych chęci pozostał taki sam. Wtedy, w tym mrówkowcu zrozumiałem, że życie nie jest wcale takie proste, jak się wydaje, że tak naprawdę białe może bardzo szybko stać się czarne. Jeżeli można grzeszyć myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem, to ja wtedy zgrzeszyłem myślą. Po raz pierwszy w życiu szedłem zabić drugiego człowieka. Miałem taki zamiar. Na szczęście wszystko potoczyło się inaczej. Choć do dziś słyszę krzyk tego dziecka ...

To miał być zwykły, rutynowy patrol. I taki był. Tylko, że wtedy dla mnie wszystko było nowe. Dopiero uczyłem się gliniarskiego fachu. Z biegiem czasu nabrałem dystansu do otaczającej mnie rzeczywistości. Wtedy rozpierała mnie chęć przeżycia przygody. Potem wielokrotnie przeżywałem równie dramatyczne wydarzenia. Jak to się ładnie mówi - ocierałem się o śmierć. Własną i cudzą. Ale wtedy wszystko jeszcze było przede mną. Siedziałem w dusznym i nagrzanym radiowozie. Ze znużeniem przyglądałem się wciąż tym samym ulicom. Samochód prowadził mój starszy wiekiem i stopniem kolega. Obaj byliśmy tak samo znużeni: upałem, nudą, wszechobecnym smrodem spalin wypełniających wnętrze naszego pożal się Boże wozu pościgowego. Choć muszę przyznać, że nasz stary gruchot marki Polonez, potrafił, gdy było trzeba dać ognia. Ale teraz był równie senny, jak my. Stacja cicho brzęczała wyrzucając z siebie monotonnym głosem komunikaty. Nagle przykuła moją uwagę gorączkowa wymiana zdań pomiędzy jedną z załóg a radiooperatorem. Coś się działo! I to w naszym rejonie! Z chaosu zdań wypływających z rzęzącej radiostacji zrozumiałem, że ktoś zamknął się w mieszkaniu z dziesięcioletnim dzieckiem. I chce je zabić! Chwilę później byliśmy na miejscu. A tam panował jeden wielki chaos. Dwie drużyny straży pożarnej uwijały się na trawniku pod jednym z bloków. Jedni wycinali piłami spalinowymi krzaczki i drzewka, drudzy pompowali za pomocą specjalnego agregatu wielką poduchę. Nad nimi w oknach lub na balkonie na wysokości dziewiątego piętra pojawiał się mężczyzna z dzieckiem na ręku. Coś wykrzykiwał, najczęściej były to obelgi miotane w kierunku strażaków. W ślad za obraźliwymi słowami leciał grad różnorodnych pocisków: butelek, talerzy, desek, krzesel. To wszystko leciało na uwijających się strażaków. A licznie zgromadzony tłum odsunięty na bezpieczną odległość kibicował. Częściowo strażakom, częściowo mężczyźnie na górze. Atmosfera była gorąca.

Trochę dalej, przy ulicy w cieniu drzew stał radiowóz z załogą, która jako pierwsza przybyła na miejsce. Przyglądali się całemu zajściu z absolutnym spokojem i obojętnością. Od nich dowiedzieliśmy się, o co chodzi. Przyjechali tutaj, aby udzielić asysty załodze karetki pogotowia. Lekarze przybyli po pacjenta ze szpitala dla umysłowo chorych. Był na przepustce i miał wrócić do szpitala. Nie wrócił. Przebywał u swojej rodziny. Oprócz niego w mieszkaniu był dziesięcioletni Krzysio, syn gospodarza nieszczęśnika. Reszta rodziny przebywała w pracy. Gdy lekarze zapukali do jego drzwi oświadczył, że nigdzie nie wraca. Zaczął grozić, że zabije dzieciaka przykładając nóż do jego szyi. Rozlał po całym mieszkaniu jakąś ciecz, prawdopodobnie benzynę. Groził, że jeżeli ktokolwiek tam wejdzie, wysadzi wszystkich w powietrze. Próbowali z nim rozmawiać przez drzwi. Ale te próby tylko jeszcze bardziej rozsierdziły wariata. Zaczął grozić, że wyrzuci Krzysia przez okno. Musieli się wycofać dla dobra dziecka. Wezwali strażaków, a ci próbują rozłożyć amortyzujące upadek poduszki. Nie wiadomo, czy zdążą. Faktycznie, wariat na górze coraz częściej pojawiał się na balkonie, widać było, że się szamoce z dzieckiem, tragedia wisiała na włosku. Spytałem się kolegów, czy próbowali tam wejść. Odparli, że tak, ale drzwi są zamknięte od środka. Nie mają żadnego sprzętu do wyważania drzwi. Jeżeli nie wyważy się ich

wystarczająco szybko wariat może zabić dzieciaka nożem, lub zamieni mieszkanie w morze ognia. Stwierdzili, że nie biorą na swoje sumienia życia tego dzieciaka ani tego wariata. Nie mają też zamiaru niepotrzebnie ryzykować swoim. Mają przecież tylko jedno. Czekają na przyjazd grupy antyterrorystycznej. Mają być za jakąś godzinę. Załoga karetki również zbytnio się nie kwapiła do wejścia do tego mieszkania. Środki uspokajające owszem mają, ale w tej chwili nie widzą żadnej możliwości zaaplikowania ich wariatowi. No niby fakt. Gdyby jeszcze ten wariat w miarę spokojnie siedział tam w tej swojej dziupli. Ale nie. On coraz częściej pojawiał się na balkonie i widać było wyraźnie, że usiłuje wyrzucić dzieciaka. Odnalazłem dowódcę strażaków. Spytałem, ile czasu zajmie im rozłożenie tych poduszek. Wzruszył bezradnie ramionami. Wskazał ręką na krzaki, na ostre kikuty ściętych drzew. Powiedział, że one mogą przebić powłokę poduszki. I cała akcja na nic. W dodatku te bombardowanie. Strach pomyśleć, co będzie, gdy coś trafi któregoś z chłopaków. Robią, co mogą. Ale i tak pewnie zaraz będzie po robocie - powiedział i wskazał palcem na feralne okno. A tam dzieciak prawie, że za barierką. Poczułem, że zjeżyły mi się włosy pod czapką. Chciałem jeszcze wiedzieć, czy mają jakiś pomysł, aby tam w miarę bezpiecznie wejść. I znowu zjeżyły mi się włosy. To pan tutaj dowodzi - usłyszałem w odpowiedzi. Mówił to oficer zawodowej straży pożarnej do mnie, gołowąsa policyjnego bez żadnych dystynkcji na pagonach. Spojrzałem na swojego partnera z załogi, żelaznego sierżanta z piętnastoletnim stażem. Wzruszył tylko ramionami i powiedział - rób jak chcesz. I tak zostałem dowódcą. Spojrzałem jeszcze raz w górę, na nieszczęsne okna i balkon, na którym rozgrywał się dramat. Musiałem podjąć decyzję. Mogłem jeszcze wszystko olać. Spojrzałem na kolegów z pierwszej załogi - idziecie? - rzuciłem pytanie. Popatrzyli na siebie i przecząco pokręcili głowami. Nie. Nie idą.

- Tadzium? - spojrzałem na kolegę. Chwilę milczał, popatrzył na mnie.

- A ty? - spytał. Odparłem, że idę. Wkurzył się. Spytał, po jaką cholere się tam pcham. To przecież proste. Nie chcę mieć na sumieniu tego dzieciaka. Bo nigdy bym sobie nie wybaczył, że mogłem coś zrobić, a zaniechałem tego. Idę, choćby sam. Zaczął na mnie krzyczeć, że mam narąbane w głowie, że to czyste samobójstwo. Bo skończymy w charakterze zgrilowanych skwarek. I że też dobra Bozia musiała pokarać go takim kretynem jak ja w załodze. Powiedziałem mu, gdzie mam jego uwagi. Głęboko. Spytałem strażaka ze spokojem przysłuchującego się naszej rozmowie, jak może nam pomóc.

- Mam ekipę, która może zjechać na linach z dachu do tego mieszkania. Ale moi ludzie nie są od obezwładniania. My jesteśmy od gaszenia.

- Mam z nimi zjechać?

- Jeżeli chcesz tą drogą dostać się do tego mieszkania, to tak. Jest wtedy szansa, aby go zaskoczyć. Ale jest jedno ale...

- Jakie?

- Jeżeli nigdy tego nie robiłeś, to nie próbuj teraz.

- To ten sposób mamy z głowy - zobaczyłem kątem oka, że Tadzio dyskretnie otarł pot z twarzy i odetchnął z ulgą. Drugi sposób zaproponowany przez strażaków, to taki, że podniosą nas na specjalnym wysięgniku na wysokość okien. Jedyne, co musimy zrobić, to przeskoczyć z tej platformy do mieszkania. Nie uśmiechały mi się żadne skoki na wysokości dziewięciu pięter. Odpadał element zaskoczenia. Wariat doskonale widziałby, co się szykuje. I w odpowiednim momencie mógł upuścić na podłogę płonąca zapalkę. Albo rzucić w nas butelką z benzyną. To już lepszy zjazd na linie. Pozostawała jedna droga - przez drzwi. Strażacy mieli na swoim wyposażeniu potężny młot. I strażaka, co miał wielką wprawę w posługiwaniu się nim. Nigdy wcześniej, ani potem nie widziałem nikogo, kto mógłby dorównać temu chłopakowi. A wiele drzwi przyszło mi sforsować. Szybko uzgodniliśmy plan. Szturm następuje z dwóch stron. Na platformie podjeżdżają pod okna strażacy i zalewają mieszkanie substancją, która ma za zadanie zneutralizować łatwopalność benzyny. Gdybym wtedy wiedział, że tą tajemniczą substancją okaże się zwykła woda, pewnie zrezygnowałbym z tego wejścia. Ale nie wiedziałem. Oprócz zneutralizowania benzyny strażacy mieli odwrócić uwagę szaleńca od drzwi. I od nas. Gdy wchodziliśmy do klatki bloku

na wyznaczone pozycje, dowódca strażaków zawołał za nami - chłopaki! - Odwróciłem się do niego. Popatrzył nam w oczy, mruknął - powodzenia. Uścisnęliśmy sobie dłonie, jak bliscy sobie ludzie. Nigdy więcej go już nie zobaczyłem. Dotarliśmy na miejsce. Pod drzwiami. Takie, jakich wiele w takich samych mrówkowcach. Byliśmy tam we trzech. Strażak z młotem, Tadzio i ja. Pod ścianą leżały przygotowane dwa koce gaśnicze. Jeden dla mnie, drugi dla Tadzia. Nie powiem, co widziałem oczami wyobraźni. Te koce silnie podziałały na mnie. Lepiej, żebym ich wtedy nie widział. Tak zwane morale uległo poważnemu obniżeniu. Właściwie znikło zupełnie. Gdyby nie to, że ze strachu po prostu wmurowało mnie w ziemię, pewnie uciekłbym z stamtąd, gdzie pieprz rośnie. Z koszmarnych wizji wyrwał mnie Tadzio.

- Co robimy?

- Wchodzimy, jak zawsze. Ja pierwszy, ty za mną. Ja biorę na siebie tego świra. Obezwładnię go. A ty zabierasz dzieciaka i chodu.

- Dobra. Tylko pamiętaj, jeżeli rzuci zapalniczkę, to po nas.

- To co mam robić?

- Przecież wiesz. On nie ma prawa niczego rzucić na ziemię. Niczego.

- Do diabła, skąd mam wiedzieć, czy ma w ręku zapalniczkę? To tylko chory człowiek.

- Będziesz ryzykował?

Spojrzałem na koce. Leżały spokojnie, w czerwonych pokrowcach. Czekały. Na nas. Nie, nie będę ryzykował. Wyciągnąłem z kabury pistolet. Przez chwilę ważyłem chłodny ciężar w dłoni. Tak, wiedziałem, co muszę zrobić. Nie mam innego wyjścia. Zdecydowanym ruchem przeładowałem broń. Charakterystyczny szcęk powiadomił mnie, że nabój tkwi w lufie. Że jest gotów. Do tego, do czego został stworzony. Do zmiżdżenia tkanki mięśniowej, do zgruchotania kości, do wnikięcia w głąb tkanek, do rozerwania tętnic. Do zadania śmierci. Ja też byłem gotów. Wraz z tym nabojem, pistoletem tworzyłem jedność. Stałem się maszyną, śmiercionośną maszyną. Miałem proste zadanie: uratować czyjeś życie. Za cenę innego życia. Z narażeniem własnego. A nawet za cenę własnego. Do tego byłem szkolony, takie złożyłem ślubowanie. I teraz idę je wypełnić. Taki fach. Koniec, kropka. Niech się dzieje wola Boża, naprzód.

- Tadzio, spróbuj z nim pogadać. Puk, puk, puk. W odpowiedzi usłyszeliśmy wrzask szaleńca, każący nam natychmiast się wynosić. Jeszcze głośniejszy był przerażony krzyk chłopca, na niesamowicie wysokich tonach. Krzyczał - odejdźcie stąd, błagam was, bo on mnie zabije! Po chwili usłyszeliśmy za drzwiami jakiś rumor. To strażacy zaczęli polewanie mieszkania od strony okien. W tym momencie nasz strażak wziął silny zamach i łup, łup. Dwa silne ciosy w dwa zamki poważnie uszkodziły drzwi. Silny kopniak dopełnił reszty. To wszystko działo się w ułamkach sekund. Wpadłem do mieszkania, rozglądając się za świrem. W przedpokoju go nie było. Dostrzegłem go w kuchni. To było wąskie pomieszczenie, taka kiszka jak to w takich mieszkaniach bywa. Silny prąd wody z sikawek zdążył wypłukać zawartość kuchennych szafek na podłogę, część z nich waląca się wraz z zawartością na ziemi. Ogarnąłem ten krajobraz w mgnieniu oka. Mój cel stał w oknie, jasny i wyraźny na jego tle. Stał do mnie tyłem, zajęty pyskowaniem do strażaków widocznych za oknem na tej swojej platformie. Opierdzielał ich za zalanie mieszkania. Tak po prostu. Na rękach trzymał zszokowanego dzieciaka. To mu uratowało życie. Miałem go na muszce, ale nie mogłem strzelić. Na linii strzału miałem strażaków, no i ten chłopiec na ręce. Dzieciak, to jednak nie zapalniczki. Wariat niczego nie zauważył. Łoskot wody wlewającej się do mieszkania skutecznie stłumił walenie młotem. Dostrzegł mnie zbyt późno. Zdażyłem już schować broń do kabury i podbiegłem do niego. Silnym ruchem obróciłem przodem do siebie. Tadzio był tuż za mną. I tak nie miał miejsca, aby stanąć obok. Nie miałem litości. Pierwszy cios spadł na skroń. Pod mężczyzną ugięły się nogi i wypuścił chłopaka z rąk. Tadzio chwycił go i szybko wybiegł z mieszkania. Zostałem sam ma sam z wariatem. Pomimo kilku silnych uderzeń, które powinny słonia zwalić z nóg trzymał się bardzo dobrze. Był drobniejszy ode mnie, ale bardzo żyłasty. Mówią, że furiaci dysponują w czasie

napadu o wiele większą siłą, niż przeciętny człowiek. Nie wiem, jak ten mój, ale się sporo napociłem, zanim mi się udało go ostatecznie obezwładnić. Myślałem, że gdy osuwał się na ziemię, został skutecznie znokautowany. Myliłem się. Zanurkował pod moimi ramionami, na podłogę. Do wielkiego, kuchennego noża. Przygniotłem go swoim ciężarem, usiłowałem wykręcić ręce. Ale nagie ciało, wymazane w mieszaninie cieczy było śliskie. Wymykał mi się. Ale jakoś się udało. Skułem go kajdankami. Od razu się uspokoił. Kucnął w kąciaku i coś tam mamrotał do siebie. Prawie nagi, w samych spodniach tylko i bez butów sprawiał żaloszny widok. Wyprowadziliśmy go z mieszkania, na dół. Tłum, na widok nieszczęśnika prowadzonego przez nas przybrał wrogą postawę. Myślałem w pierwszej chwili, że wrogość skierowana jest przeciwko tej kupce nieszczęścia prowadzonej między nami. Ale nie. Ku nam leciały okrzyki - gestapowcy, oprawcy! Jak tak można ludzi traktować! Wśród w ten sposób "wiwatujących" na naszą cześć tłumów przyszło nam oczekiwać na przyjazd karetki. Widocznie łapiduchy stwierdziły, że albo nam się uda wyjść z tego mieszkania cało, albo i tak spłonimy. Więc ich pobyt jest zbędny. A może chodziło im, tak jak tym tłumom o to, że jesteśmy po prostu "psami", "gestapowcami" i "oprawcami". Nie wiem. Gdy karetka przyjechała, przekazaliśmy im naszego jeńca. A potem znów ruszyliśmy w patrol. Znów zanurzyliśmy się w labiryncie uliczek. Na koniec dnia złożyłem u dowódcy plutonu dokumentację ze służby: notatkę służbową, plik specjalnych karteczek z wypełnionymi danymi osób legitymowanych. Dowódca spisał wyniki naszej służby w specjalne rubryki: interwencji własnych - 2, interwencji zleconych - 5, legitymowanych - 4, pouczonych - 7, ukaranych mandatem karnym - 1, odwiezionych na izbę wytrzeźwień - 0, zatrzymanych - 0. To był zwykły, rutynowy patrol. Taki, jakich wiele przyszło mi jeszcze odbyć. Ale ten szczególnie wrył mi się w pamięć. Bo zrozumiałem, że to, co robię nie jest zabawą. Ta przygoda mogła skończyć się zupełnie inaczej. Dla mnie, dla mojego kolegi, dla małego Krzysia i dla nieszczęsnego pacjenta ze szpitala dla umysłowo chorych. Ale to ja musiałbym żyć ze świadomością, że można było inaczej. Przecież wystrzelonej kuli nie można cofnąć. To była dla mnie lekcja pokory. Później wielokrotnie brałem udział w różnych równie niebezpiecznych akcjach. Z jednej wróciłem dopiero po dziewięciu miesiącach ciężkiej i intensywnej rehabilitacji. Wiele z tych działań było bardzo spektakularnych, było o nich swego czasu głośno w mediach. Ale ta była wyjątkowa. Choć nikt o niej nie pisał. I nie była warta odnotowania w policyjnych rubrykach. Ale wtedy zrozumiałem, co to znaczy ciężar decyzji. Z chłopca, chcącego przeżyć intensywną przygodę, zacząłem przekształcać się w świadomego ciężarzu życia mężczyznę. Czasami zastanawiam się, jak dziś zachowałbym się w takiej sytuacji. Czy tak jak wtedy, nad podjęciem emocjonalnej decyzji zaważyłby krzyk bezbronnego, przerażonego chłopca, czy też działałbym bardziej na zimno? Czy czekałbym na posiłki tak jak nakazywała logika? A może moja spontaniczna decyzja była jedyną słuszną, jaką można było wtedy podjąć? Nie wiem. Wtedy, po prostu, zrobiłem swoje. I już.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

POCHURO, dodano 18.06.2008 20:26

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.